Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

NR 92 (2292) | PIĄTEK 16 listopada 1973 r. | CENA 50 GROSZY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

„Świat Młodych" rozmawia z bramkarzem naszej eprezentacji Janem Tomaszewskim

BRAMKARZ myli się tylko raz

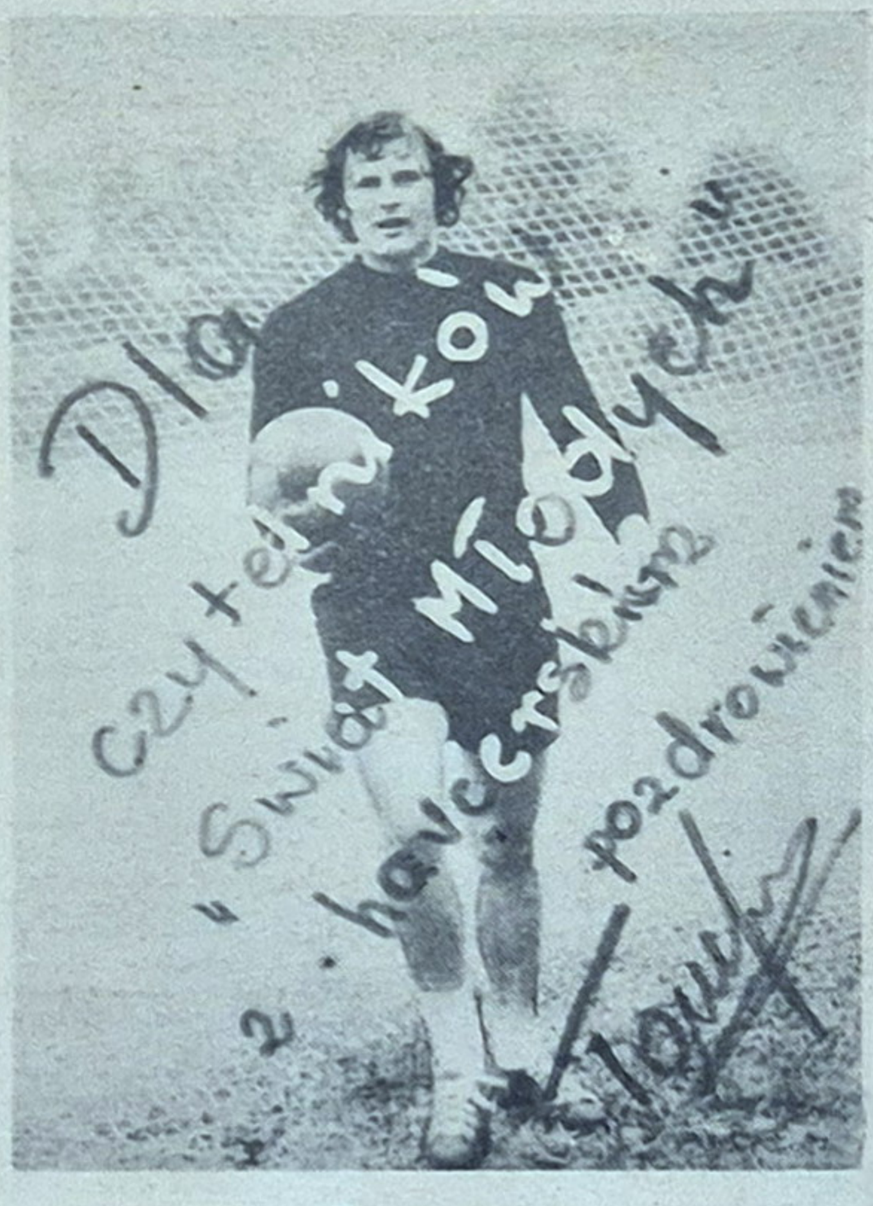

Dzień 17 października pozostanie na długo w pamięci kibiców piłki nożnej. Tego dnia nasza reprezentacja zakwalifikowała się do finałów Mistrzostw Świata. Jednym z bohaterów tego spotkania był bramkarz Jan Tomaszewski. Na rozmowę z nim umówiłem się po powrocie reprezentacji do kraju. Jana Tomaszewskiego zastałem w domu podczas popołudniowego odpoczynku. Rozmowę odbyliśmy w pokoju, który jest prywatnym muzeum sportowym naszego reprezentacyjnego bramkarza. Na ścianach pamiątkowe proporczyki i zdjęcia.

— Na początku naszej rozmowy chciałem panu przekazać gratulacje od czytelników „Świata Młodych".

— Serdecznie dziękuję, cieszę się bardzo, że nie zawiodłem.

— Czytelnicy w listach, które nadesłali do redakcji, pytają m.in. jak rozpoczął się pana kontakt z piłką.

C.D. NA STR. 3

ŚWIETNY POMYSŁ

W jednym z miast hiszpańskich na skrzyżowaniach ulic zainstalowano nowy rodzaj sygnalizacji świetlno-dźwiękowej. W momencie zmiany światła czerwonego na zielone z głośnika rozlega się specjalna melodia. Rozwiązanie takie jest wielkim ułatwieniem dla niewidomych — na sygnał dźwiękowy mogą śmiało przekraczać jezdnię. (b)

OKULARNICA

GDY PRZYSZEDŁ CZAS i Marysia poszła do szkoły, dostała elementarz z wielkimi literami. Takie same elementarze leżały na ławkach jej koleżanek. Pani głośno objaśniła:

— To jest litera „a", to jest litera „s". Jak będzie razem?

I dziewczynki chórem odpowiadały:

— As!

Tylko Marysia milczała. Wtedy pani ją spytała:

— Marysieńko, czemu milczysz? Widzisz przecież: to jest litera „a", a to — „s". Jak będzie razem?

Marysia znów nie odpowiadała. Patrzyła na stronicę elementarza i widziała wszystko jak we mgle.

— Och, jakaś ty nierozgarnięta! — zdenerwowała się pani.

Ale denerwowała się niepotrzebnie: Marysia nie była nierozgarnięta, ona po prostu miała krótki wzrok.

C. d. na str. 6

EKRAN ŚWIATA MŁODYCH

TELEGRAM

Bohaterami tego filmu są dzieci. 12-letnia dziewczynka imieniem Tosza, chłopiec Kostia i jego 5-letni brat Ruslan. Akcja rozgrywa się w sylwestrowy dzień, w Moskwie, kiedy mieszkańcy przygotowują się do uroczystego powitania Nowego Roku.

Kostia znajduje zgubiony przez kogoś telegram. Depesza zaadresowana jest do jednego z moskiewskich domów i zawiera prośbę o odnalezienie Katii Inoziemcewej, mieszkającej do wybuchu wojny pod wskazanym adresem. „Przekażcie, że będę dziś przejazdem o 19.00 na dworcu Kijowskim", w podpisie: Sieroża. Dzieci decydują się odnaleźć Katię, ale mimo licznych rozmów i poszukiwań — nie mogą tego dokonać. Tymczasem robi się już wieczór, zbliża się godzina 19.00. Nadawca depeszy, Sieroża, będzie czekać...

Jak rozgrywa się cała historia — opowiada film. Dodam tylko, że obok głównego wątku, reżyser wciąga widzów w wiele zabawnych sytuacji i scen pełnych humoru i ironii, które przeplata z poważnymi, nacechowanymi smutkiem i melancholią.

Film pt.: „Telegram" wyprodukowała w 1972 roku Wytwórnia „Mosfilm", reżyserem jest Rołan Bykow, zaś reżyserem polskiej wersji językowej Zofia Dybowska - Aleksandrowicz. Film jest kolorowy. A.G.

RAJ DLA BIAŁYCH, PRZEDSIONEK PIEKŁA DLA CZARNYCH

Tak można by najkrócej scharakteryzować Republikę Południowej Afryki — najbardziej rasistowskie państwo świata. Kto w RPA urodził się z czarną skórą, ten na całe życie zostaje pozbawiony opieki prawa. Musi mieszkać tam, gdzie życzy tego sobie biały człowiek, musi podejmować taką pracę, jaką da mu biały, nie ma nawet prawa do protestu. Tylko biali ustalają polityczną drogę RPA, tylko biali rządzą w gospodarce, administracji, w armii, policji i wymiarze sprawiedliwości! Ich państwo jest jednym z najbogatszych na świecie. Ale korzyści z tego czerpie tylko biały człowiek.

Bantustany - czarne getta

Rząd RPA podzielił kraj na dwie strefy — czarną i białą. Strefa czarna, obejmująca 9 Bantustanów, stanowi tylko 13 procent całego terytorium, biała — 87 proc. W Bantustanach ma się więc pomieścić 16 milionów Afrykanów natomiast w białej strefie — 4 miliony. System apartheidu, czyli „oddzielnego rozwoju", głosi, że Afrykanom w RPA przysługują prawa obywatelskie — społeczne i polityczne — wyłącznie na terenie 9 Bantustanów, co też jest tylko fikcją. W białej części RPA mają oni jedynie status robotnika-imigranta. Można ich przyjmować do pracy wyłącznie poprzez biura zatrudnienia istniejące w Bantustanach, do których robotnicy muszą powracać co roku, by podstemplować przepustkę. Utrata pracy czy jakiekolwiek kłopoty z prawem oznaczają jedno — przymusowy powrót do domu. W miejscu pracy Afrykanin nie ma żadnych praw, jedynie obowiązki. Reguluje to przepis pod wymownym tytułem: „Zbiór ustaw pana i sługi". Panami naturalnie są biali pracodawcy, sługami — czarni robotnicy. Z ustaw tych wynika, że Afrykanin w żadnych okolicznościach nie ma prawa przerywać pracy. Odmowa wykonania polecenia pracodawcy lub nawet niegrzeczna odpowiedź traktowana jest jako przestępstwo.

Dojeżdżanie do pracy z oddalonych od miasta Bantustanów jest praktycznie niemożliwe. Toteż dla czarnych robotników tworzone są na przedmieściach wielkich miast tzw. „townships" czyli getta albo obozy, składające się z nędznych baraków. Na powierzchni 30 m kwadratowych gnieździ się kilkanaście osób.

Nad utrzymaniem tego drakońskiego porządku czuwają urzędy i rozbudowany system policyjny. Policja ma prawo więzić podejrzanych o działalność wywrotowo - antyrasistowską bez rozprawy przez czas nieograniczony. W rezultacie tych zakazów w RPA notuje się największą na świecie liczbę osób aresztowanych i skazywanych na śmierć. Tylko za przekroczenie przepisu o przepustkach i dowodach osobistych obowiązujących Afrykanów, skazano w latach 1970—1971 650 tys. osób. Tysiące więźniów politycznych przebywa w specjalnym obozie na wyspie Robbene. Nic dziwnego, że RPA określa się dziś mianem państwa-więzienia.

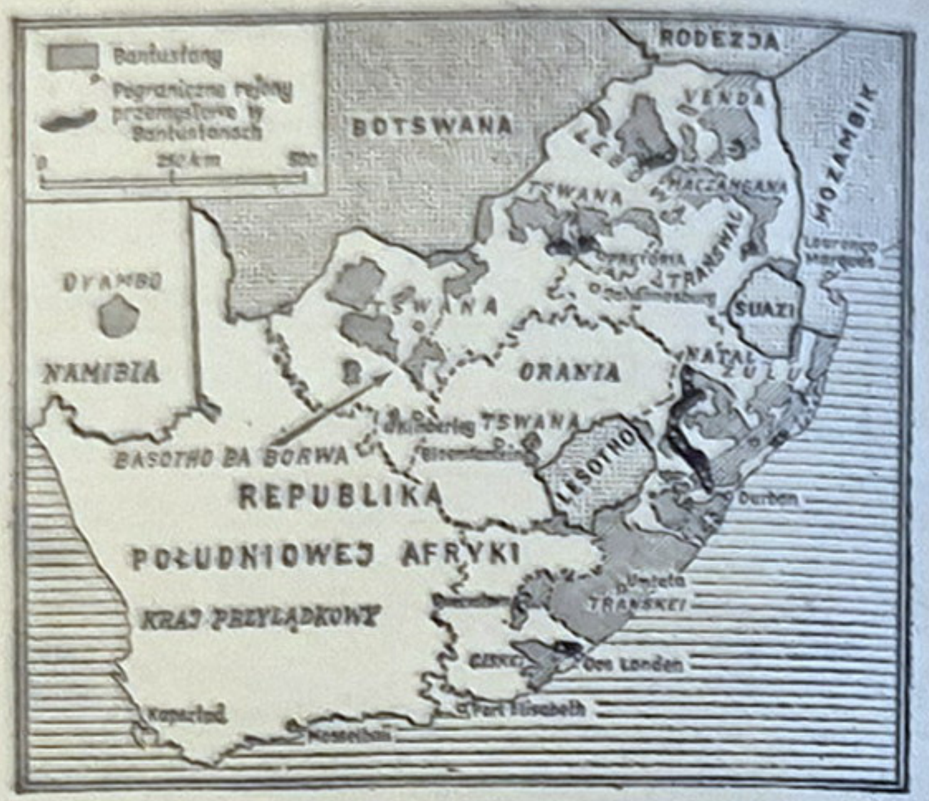

RPA należy do najbogatszych krajów świata. Kopalnie diamentów, złota, platyny, miedzi, żelaza, węgla i uranu dostarczają białym władcom nieprawdopodobnych zysków.

Przyjrzyjcie się mapce: oto jaką część terytorium RPA „przydzielono" czarnym (obszary zakreskowane). Pod polityczną i ekonomiczną kuratelą RPA znajdują się dwa „niezawisłe" państwa — Lesotho i Suazi. Natomiast Namibia jest faktycznie kolonią, siłą przyłączoną do RPA. Rząd w Pretorii utrzymuje przyjacielskie stosunki z rasistowską Rodezją oraz z reżimem kolonialnym Portugalii w Mozambiku i Angoli. To święte trójprzymierze (RPA — Rodezja — Portugalia) pragnie podporządkować sobie całą Południową Afrykę.

Jak jest w szkole?

Patrząc wstecz na ćwierćwiecze rządów Partii Nacjonalistycznej — mówi M.G. Buthelezi, Główny Radca Wykonawczy Zgromadzenia Ustawodawczego Bantustanu Kwazuku — dostrzegam niewiele rzeczy, które mogłyby ucieszyć moje czarne serce. Nasze dzieci uczą się w potwornych warunkach. O ile w szkołach dla białych jeden nauczyciel przypada na 20 uczniów, to w szkołach afrykańskich jeden nauczyciel musi uczyć jednocześnie 60, a nawet 100 uczniów. Łatwo sobie wyobrazić, jaka jest różnica w poziomie nauczania w szkołach dla białych i czarnych.

Ale to nie wszystko; dla córek i synów białych rasistów szkoły są obowiązkowe i bezpłatne. Natomiast dla dzieci czarnych obywateli szkoły nie są obowiązkowe i płatne. Ponadto na jedno czarne dziecko rząd przeznacza w budżecie oświatowym 20 randów, a na białe — 225 randów, a więc przeszło 11 razy więcej.

„Biała" i „czarna" krew

— „Do niedawna sądziłem, że pod każdą szerokością geograficzną krew jest zawsze czerwona — pisze korespondent londyńskiego „Timesa". — I wydawało mi się, że w opinii tej nie byłem odosobniony. Tymczasem w Republice Południowej Afryki jest inaczej. Tam nawet krew podzielono na dwie kategorie: „czarną" i „białą". Podstawa tego podziału jest niezwykle ścisła i olśniewająco prosta: „czarna" jest krew Afrykanów, „biała" jest krew białych".

Pewnego dnia w szpitalu w miejscowości Nelsprut (we wschodnim Transwalu) amputowano nogę Afrykaninowi. Chirurg polecił, aby natychmiast po operacji dokonano pacjentowi transfuzji krwi. Kiedy po dwóch godzinach powrócił, stwierdził z przerażeniem, że transfuzji nie przeprowadzono. Dlaczego? Bo w szpitalu zabrakło *„czarnej"* krwi. A jak tu *przetoczyć* „białą" krew *Afrykaninowi?!* Przecież za taką *„zbrodnię"* władze z premierem Vorsterem na czele ukarałyby winnych *w przykładny sposób.*

Chirurg pobiegł do naczelnego dyrektora szpitala, który — zważywszy nagłość wypadku i w drodze absolutnego wyjątku — udostępnił „ze" pół litra „białej" krwi dla czarnoskórego pacjenta. Za późno. Chory zmarł wskutek braku krwi.

Opracował
ST. BOROWIECKI

Nadciąga sztorm

Główną siłą przeciwstawiającą się polityce dyskryminacji w RPA są obecnie afrykańscy robotnicy. Lata bierności już minęły. Świadczą o tym potężne strajki, jakie wstrząsnęły w tym roku „białym rajem" — dokerów w Durbanie i Kapsztadzie, 10 tysięcy robotników w Namibii i górników w Carletonville. Mimo że wystąpienia robotników obecną sytuację w wo, fala buntu wzbiera coraz bardziej. Nadciąga sztorm — tak określił jeden z londyńskich dzienników obecną sytuację w RPA. Określenie zresztą bardzo trafne.

Strajkujący nie tylko domagają się poprawy warunków bytowych, ale wysuwają również żądania natury politycznej.

— „Musimy teraz te wszystkie często spontaniczne, wystąpienia skoordynować i przekształcić w zorganizowaną akcję" — powiedział Oliver Tambo, przewodniczący Afrykańskiego Kongresu Narodowego, nielegalnie działającej partii politycznej w RPA. — To będzie pierwszy krok do następnego etapu — walki zbrojnej. Niegdyś sądziliśmy, że swobody można wywalczyć drogą polityczną, bezkrwawą. Ale po głośnej masakrze robotników w Sharpeville zmieniliśmy zdanie. Biali rasiści nie ustąpią bez walki.

Czeka nas trudna i uciążliwa droga, tym bardziej, że moi czarni bracia nie posiadają żadnych umiejętności walki. Afrykanie nigdy nie służyli w wojsku kolonialnym, ani w policji (tak jak w innych koloniach), brak im więc często elementarnych umiejętności prowadzenia akcji zbrojnej. Przygotowujemy obecnie w krajach afrykańskich kadry niezbędne do przeszkolenia przyszłych bojowników. Czarna Afryka wcześniej czy później musi wrócić do swoich czarnych obywateli. Jednocześnie nie ulega wątpliwości, że sukces naszej walki zależy również w dużym stopniu od międzynarodowego poparcia..."

Poparcie to Afrykanie mają. Wyrażają je wszystkie postępowe kraje świata publicznie, na forum ONZ. Właśnie w październiku br. Zgromadzenie Ogólne ONZ pozbawiło delegację RPA mandatu w tej organizacji. Delegacja białych rasistów RPA nie ma już prawa reprezentowania narodu tego kraju. Jednocześnie 11 października ustanowiony został przez ONZ jako „Dzień solidarności z więźniami politycznymi w RPA".

RPA zamieszkują 4 podstawowe grupy ludności. Największą (ok. 70 proc.) stanowią murzyńskie ludy Bantu, z których najliczniejsi są Kosa, Zulu i Suto. Drugą w kolejności grupę tworzą biali (ok. 20 proc.). Składają się na nią potomkowie dawnych osadników holenderskich, zwanych Burami (ok. 2,5 mln) oraz Anglicy (ok. 1,5 mln). Innymi grupami są ludy kolorowe pochodzenia azjatyckiego — Hindusi i Malajowie oraz mieszańcy — potomkowie białych osadników i miejscowych Hotentotów. Naturalnie, przywileje przysługują tylko białym — Burom i Anglikom.

C.d. ze str. 1

— To było bardzo dawno, miałem wtedy chyba 7—8 lat, już dokładnie nie pamiętam. Zbieraliśmy się po lekcjach na podwórku i graliśmy. Ja grałem w ataku i tak jak każdy chłopak chciałem strzelać bramki. Gdy miałem jedenaście lat zapisałem się do Klubu Śląsk-Wrocław i grałem w drużynie trampkarzy jako obrońca.

— A kiedy stanął pan po raz pierwszy między dwoma słupkami bramki?

— To zrządził, jak zwykle w takich sytuacjach bywa, przypadek. Mój starszy brat był trenerem wrocławskiej Gwardii — Juniorów. W meczach drużyna strzelała dużo bramek, ale jeszcze więcej traciła. Ponieważ byłem wysoki, brat zaproponował bym spróbował zagrać jako bramkarz. I tak to się zaczęło. — Mając 15 lat rozpocząłem grę w pierwszej drużynie Śląska-Wrocław. Wszystko co wtedy osiągnąłem zawdzięczam trenerowi Głowackiemu. Wyciskał on ze mnie nie siódme lecz dziesiąte poty. Z treningu wracałem bardzo zmęczony, ale mimo wszystko nie opuściłem żadnego. Gdy Śląsk-Wrocław, w którym grałem, opuścił szeregi I ligi przeniosłem się do warszawskiej Legii. Grałem w tym zespole do niedawna. Po zakończeniu służby wojskowej zasiliłem szeregi ŁKS.

— A jak wygląda trening bramkarza?

BRAMKARZ myli się tylko raz

Jan Tomaszewski, Jerzy Gorgon i Antoni Szymanowski pozują do zdjęcia tuż po zakończonym meczu na Wembley.

— Jest bardzo ciężki, śmiem twierdzić, że najcięższy trening z wszystkich zawodników ma właśnie bramkarz. Bramkarz jak saper, myli się raz, i wtedy jest... gol. Napastnikom wybacza się błędy, zapomina się o nich w momencie gdy strzelą bramkę, ale o puszczonym przez bramkarza golu nie zapomina się nigdy. Podczas treningu tracę na wadze od 2—3 kg. Zauważyłem, że gdy dużo trenuję, to i znacznie lepiej bronię.

— Jak się pan przygotowywał do pamiętnego meczu z Anglią?

— Muszę stwierdzić, że chyba nigdy jeszcze nie przygotowywałem się tak starannie do swego występu w reprezentacji. Zresztą nie tylko ja, wszyscy moi koledzy dawali z siebie na treningach wszystko. No i rezultat 1:1 z piłkarzami Albionu, na ich boisku, mówi sam za siebie.

— Czy podczas meczu dużo pomaga bramkarzowi doping publiczności?

— Oczywiście, że jest to bardzo ważne. Pamiętam spotkanie, które rozgrywaliśmy na stadionie Śląskim. Hymn na sto tysięcy gardeł — tego się nie zapomina. Przyznam się szczerze, że miałem łzy w oczach. Był to bardzo wzruszający moment.

— Wtedy, w pierwszych minutach gry, został pan sfaulowany przez Clarka. Olbrzymi ból, a jednak nie zszedł pan z boiska.

— Nie mogłem, to było silniejsze ode mnie. Tak bardzo chciałem grać w tym meczu do końca. Chciałem udowodnić Anglikom, że „błazen" — jak mnie nazwali — też coś potrafi.

— Wiele osób zarzuca panu ryzykancki styl gry na przedpolu.

— To nie jest ryzyko, taki jest nowoczesny styl gry. Zresztą w ustaleniach taktycznych doszliśmy do wniosku z trenerami, że groźne sytuacje należy zażegnywać już w zarodku. Starałem się zbierać piłkę z głów Anglików, gdy mieli ją dotknąć. Za każdym razem, gdy opuszczałem bramkę, wchodził do niej Jurek Gorgoń, albo Bulzacki. Nie była więc ona pusta. Każdy nowoczesnie grający bramkarz musi grać także na przedpolu.

— Skoro jesteśmy przy meczu... Jakie rozmowy toczyły się w szatni tuż przed wyjściem na boisko?

— Pamiętam tylko, że trenerzy mówili nam abyśmy się nie dali ponieść nerwom. Mnie najbardziej utkwiła w pamięci wypowiedź R. Gadochy: „Chłopcy, oni są tacy sami ludzie jak my". I rzeczywiście...

— Czy nie uważa pan, że obecnie piłka nożna upodobnia się do szachów.

— W tym stwierdzeniu jest dużo racji. Bo zawodnik nie może interesować się tylko tym, co dzieje się w danej chwili na boisku. Musi on przewidywać, co będzie za moment. Obecnie piłkę nożną cechuje przewidywanie ruchu przeciwnika, zawodnik musi myśleć...

— Jakie nastroje panowały w szatni po pierwszych 45 minutach gry?

— Nikt nic nie mówił. Każdy odpoczywał, by zebrać siły na drugą połowę meczu. Przyszedł do szatni Włodek Lubański i powiedział: „Chłopaki, oby tak dalej. Musicie wytrzymać. Dobrze idzie". Było to najdłuższe 10 minut przerwy w meczu w jakim kiedykolwiek grałem. Nie ukrywam, baliśmy się tych ostatnich 45 minut gry.

— Starałem się zbierać piłkę z głów Anglików, gdy mieli ją dotknąć — mówi Jan Tomaszewski.

— Co pan odczuwał po zakończeniu spotkania?

— Tego nie sposób opowiedzieć. Byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Płakałem, do czego nie wstydzę się przyznać...

— Czemu Anglicy nie zakwalifikowali się do Mistrzostw Świata? Czy dlatego, że trafili na Polskę?

— Nie, Anglicy to świetny zespół. Nawet sam Alf Ramsey powiedział po meczu, że gdyby mu przyszło jeszcze raz rozegrać spotkanie z Polakami, to wystawiłby ten sam skład. Co zgubiło Anglików? Zarozumialstwo i pewność siebie! Oni nie dopuszczali myśli, że nie wejdą do finału Mistrzostw Świata. Ta ich pewność siebie jeszcze bardziej zmobilizowała nas do gry. I pokazaliśmy „gumojadom", że my, „dzikusy" też potrafimy grać w piłkę.

— Panie Janku, jeszcze raz serdecznie gratulujemy i życzymy sukcesów w finale Mistrzostw Świata! — Acha, jeszcze jedno. Nasi czytelnicy proszą o pana adres. Pragną bowiem przysyłać listy z pytaniami no i oczywiście — z gratulacjami...

— Proszę bardzo.

Łódź, ul. Piotrkowska 76, ŁKS.

Proszę jednak wybaczyć, że nie na wszystkie listy będę mógł odpisać. Zajęłoby mi to zbyt dużo czasu. Może więc tą rozmową choć w części zaspokoiłem ciekawość czytelników. Jeśli tak, to bardzo się cieszę.

Rozmawiał:
DARIUSZ SZPAKOWSKI
Foto: M. Szymkowski

Płetwy dla statków

PROBLEM ograniczenia przechyłów statków w czasie silnej fali jest tak stary, jak samo budownictwo okrętowe. Ostatnio specjaliści z amerykańskiej firmy McMullen opatentowali płetwy stabilizujące „Elektrofin". Statki wyposażone w to urządzenie po obu stronach podwójnej części kadłuba posiadać będą kilkumetrowe płetwy, przypominające swym kształtem skrzydła samolotu. Automatyczna regulacja wychylenia płetw pozwoli zmieniać ich siłę nośną i przeciwdziałać przechyłom. Kiedy statek zbliży się do brzegu, bądź podczas postojów i dobrej pogody, płetwy będą chowane do podwodnej części kadłuba.

Zainteresowanie systemem stabilizacyjnym firmy McMullen jest tak duże, że przedsiębiorstwo to nie mogąc podołać wszystkim zamówieniom, zawarło porozumienie kooperacyjne ze Stocznią im. Warskiego w Szczecinie. W myśl podpisanego porozumienia w Polsce produkowane będą mechanizmy i same płetwy, a Amerykanie dostarczą automatykę i urządzenia hydrauliczne. Pierwszy statek z płetwami dla PLO powstanie w 1976 r.

Skrzydła stabilizujące są urządzeniem bardzo drogim — koszt ich równa się cenie silnika napędu głównego średnich wymiarów frachtowca.

Jeden z polskich specjalistów, mgr inż. Marian Maćkowiak, opatentował system skrzydeł wieloplaszczyznowych nie wymagających tak dużych wychyłów jak płetwy „Elektrofin". Wynalazek ten będzie sprawdzony na modelu w stoczni szczecińskiej. (b)

— To był „Mały" — Karlik Gigla — pokazuje wnukom na powstańczej fotografii swego towarzysza broni Piotr Kosmala.

LUDZIE ze znaczka

Na pocztowych znaczkach często widnieją portrety królów, słynnych wodzów, mężów stanu, rewolucjonistów, bohaterów narodowych, wielkich naukowców, odkrywców, sławnych pisarzy. Znane są ich nazwiska, czyny, życiorysy. Ale czasem ukazuje się znaczek z wizerunkiem osoby lub grupy osób anonimowych.

Znaczek z takim przypadkowym zdjęciem przedstawiającym anonimową osobę drukowany jest później w milionowym nakładzie i wędruje po świecie. I może się zdarzyć, że ktoś zamyśli się chwilę nad tym, kim jest przedstawiony na znaczku człowiek. Przez wydrukowanie jego fotografii w masowym nakładzie stał się bowiem znany z sylwetki lub twarzy, ale nikt nie wie jakie nosi nazwisko i skąd pochodzi...

Czy zidentyfikowanie go bywa możliwe?

Okazuje się, że w wielu wypadkach tak. A często łączy się z jakąś ciekawą historią, niezwykłym wydarzeniem, splotem ludzkich losów.

WOJTEK Z NOWEGO TARGU I GWOJ Z WAILBRI

W 1949 r. ukazał się wydany w Polsce w serii „Walka z gruźlicą", znaczek przedstawiający małe dziecko. Znany grafik Tadeusz Trepkowski projekt tego znaczka wykonał na podstawie przypadkowego zdjęcia, pochodzącego z zakładu fotograficznego w Nowym Targu. Ale kim był sfotografowany bobas?

Odpowiedzi na to pytanie, które zapewne intrygowało niejednego filatelistę, udzieliła przed trzema laty „Trybuna Opolska". Sportretowany chłopczyk nazywa się Wojtek Glensk. Urodził się 13 listopada 1941 r. w Warszawie, dokąd jego rodzice, poszukiwani przez gestapo, przenieśli się z Opolszczyzny. Mając dwa i pół miesiąca, Wojtek został wraz z rodziną aresztowany i razem z matką umieszczony na Pawiaku. Po uwolnieniu z więzienia matka wywiozła go do Nowego Targu, gdzie później zostało wykonane zdjęcie, które wpadło w oko grafikowi. Ojciec Wojtka zginął w Oświęcimiu.

Inny znaczek z portretem anonimowego człowieka, którego z czasem udało się zidentyfikować, wydano z Australii. Znaczek ten przedstawiał australijskiego krajowca. Na prośbę filatelistów, zaciekawionych kim on jest i pragnących uzyskać jego autograf, poczta australijska odnalazła Gwoja Janguraja, pochodzącego z prymitywnego plemienia Wailbri. Był analfabetą i zamiast autografów na nadsyłanych listach ze swoim znaczkiem odciskał... palec. Gwoj Janguraj za swoje „autografy" otrzymywał jednofuntowe wynagrodzenie i w filatelistycznym światku został nazwany „Jimmy a pound". Zmarł w 1964 r., o czym doniosły nekrologi zamieszczone w pismach filatelistycznych.

DWUDZIESTU CZTERECH POWSTAŃCÓW

Niezwykle ciekawa historia łączy się z polskim znaczkiem, który wszedł do obiegu 3 maja 1971 r. z okazji 50 rocznicy wybuchu III Powstania Śląskiego. Wydany w nakładzie 8 mln szt. w kolorze szaro-brązowym, o wartości nominalnej 60 gr, przedstawia 24 uzbrojonych powstańców. Skąd pochodziło zdjęcie, które posłużyło artyście plastykowi Janowi Brzozie do wykonania projektu jubileuszowego znaczka i kim są przedstawieni na nim ludzie, udało się niedawno wytropić katowickim dziennikarzom i działaczom Zarządu Okręgowego ZBOWiD.

Spośród 24 widniejących na zdjęciu powstańców zidentyfikowano 18. Są to Augustyn Adamiec, Edward Badura, Jan Buchta, Fryderyk Burek, Franciszek Cyba, Franciszek Draga, Karol Gigla, (?) Golus, Paweł Habryk, Teofil Kowalski, Stefan Kosma, Piotr Kosmala, Piotr Olesiński, Paweł Panek, Karol Podlejski, Piotr Skibirzepa, (?) Świerkot, Stefan Witas i Karol Zioła. Z wymienionych, do dziś żyje tylko pięciu. Uniknęli niemieckiej kuli wtedy i później. Niemal każdego pogodnego dnia można ich spotkać spacerujących w parku w Szopienicach, odpoczywających tu w promieniach słońca, pogrążonych we wspomnieniach o czasie, który na zawsze wpisał do historii tysiące nazwisk takich jak oni śląskich robotników i chłopów. Źle uzbrojeni, ofiarni i gotowi oddać własne życie, przed półwieczem walczyli o wolność i polskość Śląska z regularnymi, dobrze uzbrojonymi oddziałami niemieckimi, wspomaganymi przez liczne bojówki.

CI, KTÓRZY PRZEŻYLI

Odwiedziliśmy ich, pytając o historię powstańczej fotografii, o ich życiorysy.

Zdjęcie powstańczego oddziału zostało wykonane 19 sierpnia 1920 r. w Szopienicach przy drodze do Mysłowic, na dziedzińcu domu noclegowego huty cynku. Dziś stoi w tym miejscu budynek mieszkalny (przy ul. Wiosny Ludów 63). Na zdjęciu znalazła się grupa, która szturmowała niemieckie koszary.

II Powstanie Śląskie rozpoczęło się właśnie na terenie Szopienic, Janowa, Rozdzienia i Małej Dąbrówki. 18 sierpnia wieczorem rozbrojono policjantów, urzędników i bojówkarzy niemieckich, a następnego dnia rano powstańcy z tych miejscowości pod dowództwem R. Mańki zaatakowali Mysłowice, bronione przez dwie kompanie niemieckiej policji i duży oddział bojówkarzy. Po zaciętej i krwawej walce, która zakończyła się dopiero po południu, powstańcy wzięli do niewoli 100 policjantów oraz zdobyli znaczne zapasy broni.

Jest to więc cenne zdjęcie dokumentalne, pierwsze lub jedno z pierwszych wykonane podczas II Powstania Śląskiego, wzbogacające naszą wiedzę o historii walk ludności Śląska o narodowe i społeczne wyzwolenie.

Edward Badura i Karol Zioła przyjaźnili się serdecznie od dzieciństwa. Była to jedna z tych wielkich przyjaźni na dobre i na złe.

— Razem mieszkaliśmy w Szopienicach — wspomina Edward Badura. — Obaj braliśmy udział w kolejnych powstaniach na terenie Szopienic i Mysłowic. W sierpniu 1920 r. nasz powstańczy oddział zrobił sobie pamiątkowe zdjęcie, na którym znalazłem się razem z Karolem Ziołą. Większość powstańców to byli jeszcze bardzo młodzi chłopcy, robotnicy z hut i kopalń. Brakowało nam bojowego doświadczenia, ale z powstania na powstanie walczyliśmy coraz lepiej.

W III Powstaniu Śląskim od 3 maja do 5 lipca 1921 r. Edward Badura przeszedł bojowy szlak od Katowic przez Chorzów, Zabrze, Sławęcice, Kędzierzyn i Gogolin, aż do Góry św. Anny. W tym samym batalionie byli również znajdujący się na powstańczej fotografii Draga, Zioła i Panek, którego siostra, Maria, była wówczas sanitariuszką. Po powstaniach Edward Badura wrócił do pracy w Zakładach Cyfkowych w Szopienicach.

Piotr Kosmala, na zdjęciu drugi od prawej w górnym rzędzie, pochodzi z górniczej rodziny z Szopienic. Brał udział we wszystkich trzech powstaniach śląskich. Razem z pożółkłym ze starości zdjęciem, które znalazło się na pocztowym znaczku, przechowuje jeszcze inne powstańcze fotografie, zrobione pod Mikołowem i podczas marszu na Kędzierzyn. Pokazuje na nich siebie oraz kilku innych powstańców z szopienickiej grupy, a wśród nich Karlika Giglę, który był niebywale odważnym chłopcem i wsławił się niejednym bohaterskim czynem podczas walk. Zmarł mając zaledwie 16 lat.

Po powstaniach Piotr Kosmala do 1922 r. pracował w kopalni „Wieczorek", a później na kolei, gdzie zaczynał od czyszczenia parowozów, a skończył jako kierownik pociągu odchodząc w 1963 roku na emeryturę. Podczas ostatniej wojny współpracował z partyzantami, dostarczając im informacji o niemieckich transportach wojskowych. W jego mieszkaniu znajdowała się drukarnia konspiracyjnej gazety „Ku Wolności", którą z narażeniem życia kolportował. Po aresztowaniu przebywał w Oświęcimiu skąd udało mu się zbiec.

— Gdy zostałem aresztowany przez Niemców w 1943 r. — wspomina Piotr Kosmala — gestapowcy znali mnie już z tego powstańczego zdjęcia. Przesłuchiwany, nie przyznawałem się, że walczyłem w powstaniach śląskich, lecz wówczas pokazano mi to zdjęcie. Myślę, że tak jak i inne z tego okresu, mogło być ono zrobione dla potrzeb niemieckiej policji przez szpiegów podających się za fotografów.

Taka jest historia małego jubileuszowego znaczka, który na pocztowych kopertach obiega świat jako symbol patriotyzmu i umiłowania wolności polskiego ludu. I takie są życiorysy grupy ludzi, uwiecznionych na przypadkowej powstańczej fotografii, którą poczta polska reprodukowała w ośmiomilionowym nakładzie.

St. J. Wil.

Zdjęcia: M. Kalinowski

Wszystko zaczęło się od tego znaczka, wydrukowanego w 8-milionowym nakładzie przez pocztę polską.

Por. rezerwy Karol Podlejski (w mundurze) i Paweł Panek oglądają powstańcze pamiątki.

Dom Mody „Świata Młodych"

Swetry–olbrzymy

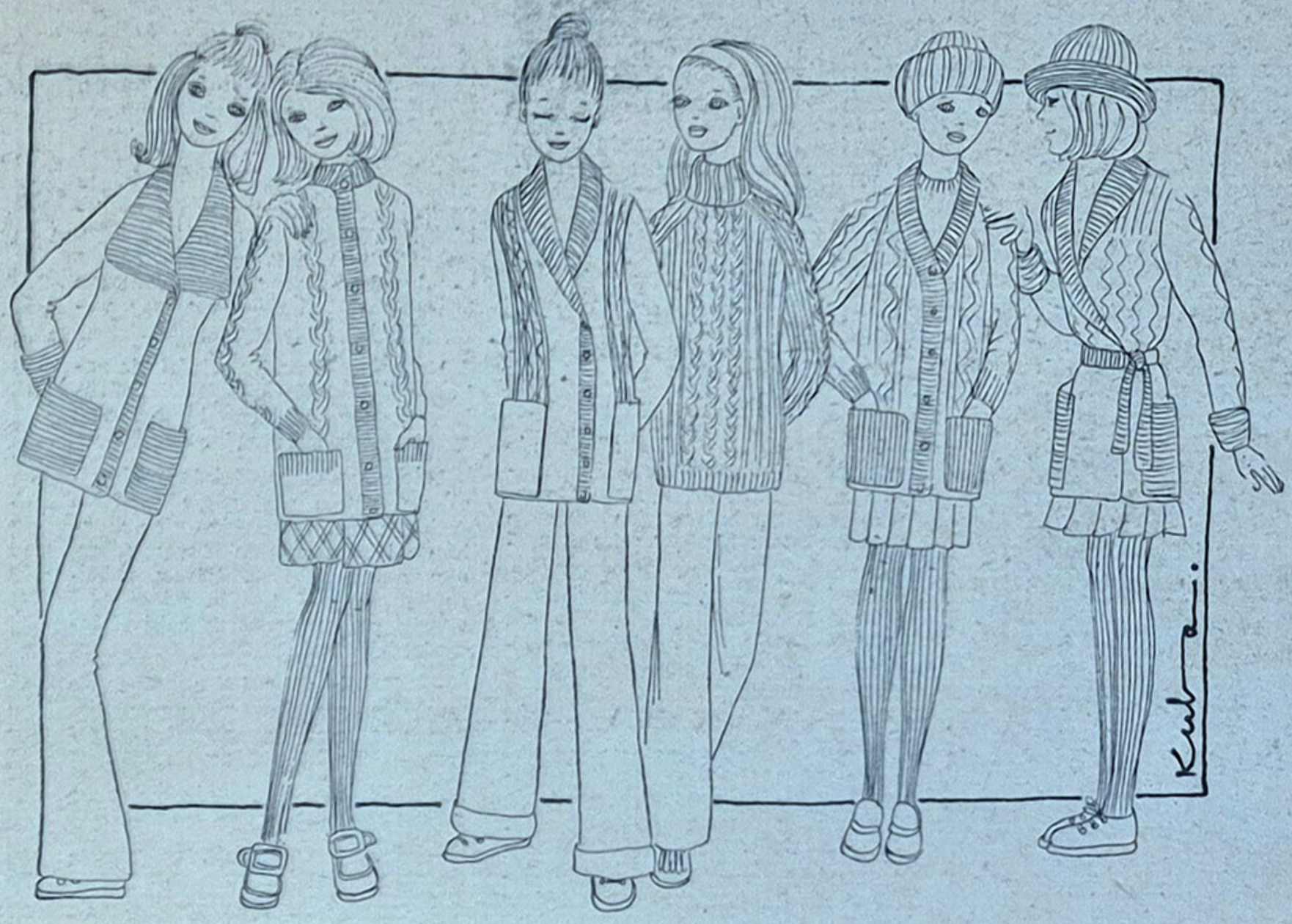

GRUBAŚNE, wielkie i luźne, w niczym nie przypominają tych obcisłych mini-sweterków sięgających zaledwie do pasa, z którymi ostatnio przestawałyśmy.

Spójrzcie na rysunek: to są już nawet nie sweterki, ale robione na drutach żakiety. Taką zresztą rolę spełniają. Rozpinane, często z kołnierzami (najmodniejsze to tzw. szalowe, czyli coś przypominającego wyłogi szlafroka), prawie zawsze z kieszeniami, nie są noszone na gołą skórę, ale na jakąś bluzkę lub inny, cieńszy sweter.

Mnie się bardzo podobają, a poza walorami estetycznymi na pewno w czasie najbliższych miesięcy nie zabraknie okazji do ich wykorzystania. Np. taki sweter i kurtka, o których niedawno rozmawiałyśmy, to już jest coś, w czym można stawić czoło najsroższej zimie.

Te swetry-olbrzymy unikają wzorków wyrabianych w innym kolorze. Lubią za to różnego rodzaju ściegi ozdobne — „warkoczyki", kombinacje ściągaczowe... Najbardziej stylowe zrobione są z tzw. włóczki melanżowej (takiej pstrokatej), która niestety bardzo rzadko bywa w sklepach. Można jednak temu zaradzić, bo ponieważ ich grubość wymaga robienia ich z co najmniej dwu nitek — mogą być w różnych kolorach. Efekty takiego połączenia wyglądają zupełnie interesująco i w ten sposób można praktycznie łączyć każdy kolor z każdym.

Inna sprawa to samo wykonawstwo — robota to i żmudna i nie najłatwiejsza, właściwie dostępna tylko dla najbardziej zaawansowanych „dziergaczek". Pozostałe będą znowu musiały uśmiechnąć się do mam, babć i cioć o poratowanie. Namawiałam was zresztą od dawna do nauczenia się władania drutami i szydełkiem. Tak się bowiem (może pechowo, a może szczęśliwie) składa, że aktualna moda bardzo silnie preferuje tego rodzaju rękodzielnictwo.

Takie swetry można kupić i gotowe w sklepie, ale po pierwsze — naprawdę ładne są bardzo drogie, a po drugie — aktualnie robione ręcznie stoją w hierarchii o kilka punktów wyżej od tych maszynowych.

Życzę każdej z was bardzo fajnego swetra-olbrzyma!

WASZA RIUSZKA

Usługi dla rodziców i innej ludności

BARDZO DAWNO, więcej niż 1000 lat temu, w miejscu gdzie dumnie dziś rośnie Arszawa, nie było żadnych usług dla ludności, bo nie było ludności. Później kiedy wyrosły pierwsze chaty, każda rodzina była samoobsługowa, samowystarczalna i usługi nie były nikomu potrzebne. Wtedy to zapewne powstało przysłowie: „Każdy sobie rzepkę skrobie". Wkrótce jednak okazało się, że jeden gospodarz stawia lepiej domy od innych, inny najlepiej kuje konie, a trzeci jak nikt opowiada bajki. Od tej pory, kiedy pan Cieślakowski chciał podkuć konia, szedł do pana Kowalskiego, a pan Bajkowski, kiedy chciał wybudować dom, zwracał się do pana Cieślakowskiego. Dziś nazwiska nie świadczą o umiejętnościach. Można się nazywać Piątkowicz, a być dwójkowiczem. Można się nazywać Socha, a obsługiwać komputer...

— *Lub tak jak ty nazywać się Wsteczniak, a być prezesem punktu usługowego „Mały postęp"* — wtrąciłam, aby przerwać zbyt długi wstęp prezesa i przejść do sedna sprawy.

— *Kolego prezesie, na czym polega działalność waszych usług?*

— Rok temu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, zauważyłem, jak bardzo męczą się rodzice z wychowaniem dzieci. Np.: matka gotuje obiad, syn na podwórku gra w piłkę. Obiad gotowy, matka otwiera okno i woła:

„Jasiu na obiad!" „Dobrze" — odpowiada Jaś. Po pięciu minutach: „Jasiu na obiad, zupa stygnie!" „Już idę!" Po dziesięciu minutach: „Jasiu, bo będę musiała odgrzewać!" „Jeszcze tylko strzelimy trzy bramki. Gramy do dziesięciu goli"

Tak postępuje matka — cierpiętnica. A co robi matka — postępowa? Postępowa opłaca w naszym punkcie miesięczny abonament wołań Jasia na obiad. Przyjeżdżamy codziennie o wskazanej godzinie pod dom i wołamy: „Jasiu, na obiad!".

— *I to skutkuje?* — zapytałam z niedowierzaniem.

— My nie wysilamy tak gardła jak mama Jasia. O jednej porze musimy skutecznie zawołać na obiad 114 chłopców i 7 dziewczynek, bo tyle mamy aktualnie w abonamencie. Wołanie nagrane na taśmie magnetofonowej puszczamy przez wzmacniacz kierunkowy. To nie jest błagalne wołanie bezradnej matki, ale wprost *pięść foniczna*. Jasio zostaje znokautowany falą głosu nagraną przez czołowego basa Opery Arszawskiej. Do tego jeszcze dochodzą efekty echa.

Inny rodzaj usługi, to wieczorne wyprowadzanie psów. Mały szczeniak zadowala się brytwanką z piaskiem, kiedy wyrośnie, trzeba go wyprowadzać. Oto scena z pewnego domu.

— Zosiu, wyprowadź Klopsa, nie był od rana.

— Nie mogę, mam tyle lekcji, a zaraz jest film w tv. Niech babcia wyprowadzi.

My sprawę załatwiamy szybko i solidnie. O oznaczonej porze przywozimy przed blok drzewko-prowokator osadzone w przenośnej piaskownicy i dajemy znak gwizdkiem. Na głos gwizdka wszyscy abonenci wypuszczają pupilków, które pędzą wprost do ukochanego prowokatora. Na hasło „szukaj kiełbasy" wracają do mieszkań, gdzie rzeczywiście dostają kąsek.

W naszym punkcie usługowym można również zamówić tak oryginalną usługę, jak przezywanie kolegów. Dotychczas, chcąc np. przezywać Jurka, niejeden wołał staroświecko: Jurek ogórek.. Męczyłeś gardło i mogłeś się jeszcze narazić na lanie. Obecnie wystarczy zapłacić 5 zł miesięcznie i „urzędnik", albo nawet sam prezes codziennie przyjedzie pod okno Jurka i będzie go przezywał specjalnym nowoczesnym zestawem przezwisk. Przezwiska na zamówienie mogą być rymowane, a nawet w językach obcych

— *Czy mógłbyś i mnie trochę poprzezywać? Nikt jeszcze mnie nie przezywał.*

— Ależ pani redaktor, jakbym śmiał?!

— *Potraktuj mnie jak normalnego klienta, płacę i wymagam.*

— Chwileczkę, muszę się skoncentrować. Nietypowa usługa...

A więc...

Alicja-fikcja,
maże reportaże!

— *Dziękuję za udzielenie wywiadu i życzę szerokiego wachlarza usług.*

ALICJA WSZYSTKOWIEM

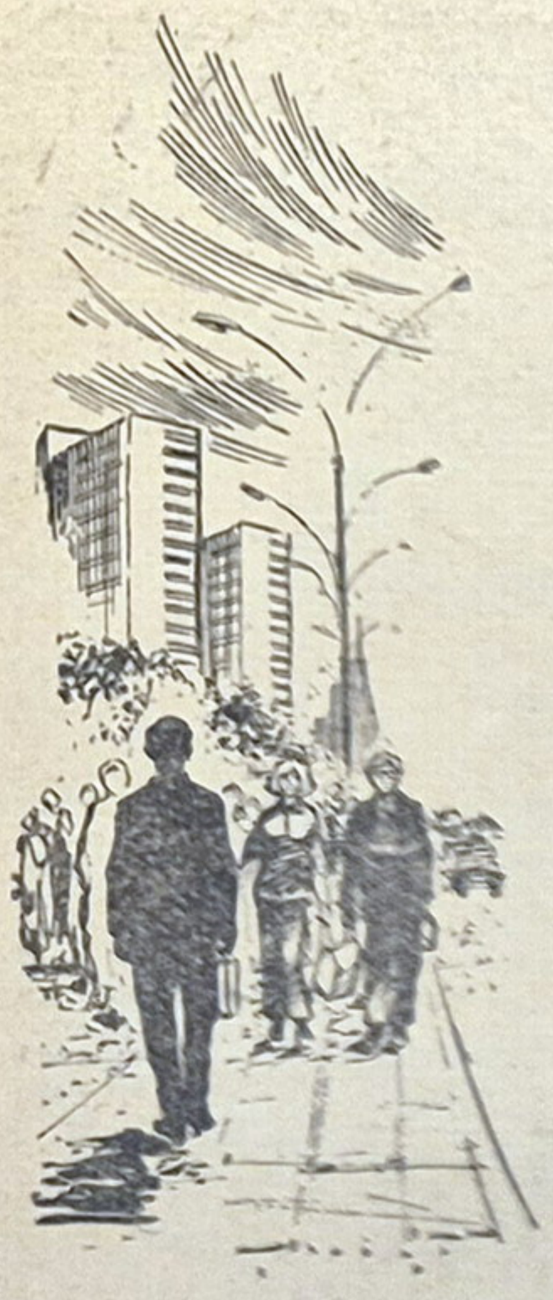

OKULARNICA

C.d. ze str. 1

Rodzice zamówili jej okulary. Szkła optyk dobrał prawidłowe, ale oprawkę... Oprawki w tamtych latach sprzedawano tylko okrągłe, z cienkiego drutu, takie, jak noszą przeważnie staruszkowie. Ale to nic, Marysia widziała teraz doskonale. I literę „a", i literę „s". I razem z całą klasą czytała głośno: „as", „mama", „tata", „baba".

Chłopcy ze starszych klas podśmiewali się z Marysi, wołali: „okularnica"!

Dziewczynki współczująco szeptały tak, by usłyszała:

— Biedulka, jak potwornie wygląda...

Ale współczucie było tu nie na miejscu. Brzydkie były przecież tylko jej w drucianych oprawach okrągłe okulary. Ale to właśnie dzięki nim Marysia wszystko wyraźnie widziała.

Minęło kilka lat. Marysia przyzwyczaiła się do okularów. Zmieniła już niejedną parę. Ale zamawiając nowe prosiła zawsze, aby dano jej taką właśnie okrągłą oprawę z cienkiego drutu, staromodną, z czasów babuni. Może bała się nowych przezwisk chłopaków. A może też zacięła się i myślała: „Jeśli jestem brzydulą, to i tak nic mi nie zaszkodzi, a brzydoty nie skryje nawet najpiękniejsza oprawka".

Ale pewnego dnia, a było to już w dziewiątej klasie, miało miejsce nieprzewidziane wydarzenie. Marysia pochyliła się na lekcji i okulary spadły jej z nosa. Rozległ się charakterystyczny dźwięk i wiadomo było, że szkła już nigdy nie będą służyć właścicielce. Marysia obmacywała ręka podłogę, ale nic nie znalazła. A chłopiec — miał na imię Kostek — siedzący w sąsiedztwie Marysi, popatrzył na nią i aż krzyknął ze zdziwienia, ale tak głośno, że nauczyciel geometrii — stary „Sinus" — podskoczył i spytał gniewnie:

— Co tam się stało?

Wyjaśnienie było zbędne: „Sinus" nigdy by tego nie zrozumiał. A stało się bardzo wiele. Kostek spojrzał na Marysię i po raz pierwszy ujrzał ją bez okularów. I właśnie wtedy aż krzyknął ze zdumienia.

— Marysiu — szepnął. — Jakaś ty ładna. Jakie masz piękne oczy!

— Co tam się stało?

Mimo wszystko „Sinus" by nie zrozumiał! Bo czy mógł zrozumieć, że Kostek ujrzał czarodziejską przemianę: wielkooka żabka stała się piękną księżniczką.

Po lekcji chłopcy otoczyli Marysię. Zaglądali jej w twarz, chwytali za ręce, za ramiona, jakby nie wierząc, że to ta sama dziewczyna.

— Znajdźcie mi okulary — żałośnie prosiła Marysia.

Wszyscy rzucili się szukać. Naturalnie — pierwszy Kostek.

I choć każda klepka podłogowej posadzki została dokładnie przejrzana, staroświecka druciana oprawka jakby zapadła się w ziemię...

Następnego dnia Kostek przyszedł do mieszkania Marysi i zmieszany wręczył jej niewielki pakiecik.

Marysia rozwinęła papier. Wewnątrz była oprawka. Piękna, rogowa, bardzo wówczas modna.

— To nie moja oprawka — rzekła Marysia. — Takie noszą tylko profesorowie i aktorki w zagranicznych filmach. Moja pewnie wpadła gdzieś w szparę i dlatego jej nie znalazłeś.

— Znalazłem ją — przyznał Kostek — i wyrzuciłem na śmietnik historii... — Kostek lubił wyrażać się pompatycznie. — A teraz pójdziemy do optyka wstawić szkła do tej oprawy. I niechaj zacznie się dla ciebie nowa era.

Nazajutrz Marysia przyszła do szkoły w nowych okularach.

— Jak się stara nasza brzydula! — syknęła zła dziewczyna z sąsiedniej ławki. — Zafundowała sobie bombowe patrzałki!

Jednak wypukłe szkła okularów gasiły jakoś wesołe iskierki w oczach Marysi.

„Twarda jest matka natura — myślał Kostek — a on lubił myśleć pompatycznie. — Natura dała Marysi oczy, które opromieniają całą jej istotę i każe jej skryć je ze szklanym pancerzem".

A głośno powiedział:

— Wiesz co, Marysiu, Zakładaj okulary tylko w ostateczności, kiedy rzeczywiście nie możesz się bez nich obejść.

Od tej pory Marysia zaczęła nosić okulary w teczce. A sama chodziła znów jak we mgle i myślała: „Oj, zdaje mi się, że idzie nasza wychowawczyni... Ach, zdaje się, że tam maszeruje znajomy taty...."

I na wszelki wypadek kłaniała się wszystkim.

— I coś w niej jest nieprzyjemnego — syczała zła sąsiadka ze szkolnej ławki. — Kłania się komu trzeba i komu nie trzeba. Podlizucha...

A Marysia nikomu się nie podlizywała. Miała tylko krótki wzrok. I po prostu zaczynała zmieniać się z dziewczynki w kobietę. Tak dzieje się kiedyś ze wszystkimi dziewczynami, nawet z krótkowzrocznymi. Dlatego Marysia chciała, by wszyscy widzieli jej oryginalną urodę...

Na tym można by właściwie zakończyć historię o Marysi i okularach, ale przecież historia na tym się nie skończyła.

Wiele lat nie widziałem Marysi, ani nic o niej nie słyszałem. A kilka dni temu idę ulicą Gorkiego i naprzeciw widzę zgrabną elegancką kobietę. Kiedy zrównaliśmy się — kłania mi się. I wtedy przypomniałem sobie Marysię.

— Dzień dobry! Poznał mnie pan? Jestem dawną uczennicą, pan nas uczył geometrii i algebry. — To była Marysia.

Śmieje się i ciągnie za rękę swego towarzysza:

— Popatrz, Kostek, co za radosne spotkanie!

A Kostek — barczysty drabisko w okularach — jak mnie schwycił za rękę i potrząsnął, to omal nie wyrwał mi jej z korzeniami.

— Kogo ja widzę? — wrzasnął na całą ulicę. — Sin... — i urwał pąsowiejąc gwałtownie.

— Drobiazg! — powiedziałem. — Kończ śmiało. Czyżbyś myślał, że nie wiedziałem, żeście mnie ochrzcili „Sinusem"?

Okazuje się, że dziesięć lat temu wzięli ślub. Mieszkają pod Leningradem, oboje pracują. Ona — lekarka, a on... Wiecie, nigdy bym nie uwierzył: uczy geometrii i algebry!

— Niechże mi pani powie — spytałem Marysię, przepraszam, Marię Fiodorownę — jak mnie pani poznała tak bez okularów. Przecież pani zawsze miała bardzo krótki wzrok.

— O, było — minęło! Teraz mam dobry wzrok! — wykrzyknęła Marysia. — U niektórych krótkowidzów wzrok czasem wraca do normy... — Popatrzyła na Kostka z wyrzutem. — A właśnie Kostek został dalekowidzem. Za dużo ślęczy nad zeszytami. Oddałam mu nawet swoją oprawę, tylko szkła zmieniliśmy...

Popatrzyłem na te okulary i razem z Kostkiem — przepraszam, z Konstantym Siergiejewiczem — uśmiechnęliśmy się tajemniczo. Bo — prawdę mówiąc — ta oprawa była moja... To ja wtedy w szkole oddałem Kostkowi swoją zapasową oprawę dla Marysi. Staroświeckie, druciane okulary przepadły tego dnia — jak pamiętacie — bez śladu. Po wyfroterowanej podłodze pojechały mi wtedy prosto pod nogi, do nauczycielskiego stolika. Na moje groźne pytanie: „Co tam się stało"? mogłem dokładnie odpowiedzieć tylko ja. Bo przecież to ja niezauważenie podniosłem okulary i schowałem je przed całą klasą.

Bądźcie łaskawi tylko nie rozpowiadać o tym nikomu. Bo różnie mogą myśleć: nauczyciel geometrii i takie tam... Dobrze?

NAUM ŁABKOWSKIJ
tłum: JAN PTYKOWSKI
Rys. Jan Kocki

Ładne ręce

PRZY WIELU CZYNNOŚCIACH gospodarskich, a zwłaszcza podczas sprzątania, prania i prac kuchennych, skóra rąk narażona jest na zetknięcie z kurzem, brudem, ostrymi nieraz środkami chemicznymi, barwiącymi sokami owoców i jarzyn. Zależy nam jednak, by ślady tych czynności nie były widoczne, gdyż wypielęgnowane dłonie są wielką ozdobą. Utrzymanie rąk w nienagannym stanie, mimo spełniania wielu koniecznych i nader niszczących skórę dłoni czynności, zapewniają ochronne specyfiki, produkowane przez fabryki kosmetyków Pollena.

Przystępując do tzw. brudnej roboty, jeśli nie możemy założyć gumowych rękawic, stosujemy Ochronny Krem do Rąk Silikonowy (F-ki Pollena- Uroda). Preparat ten po nałożeniu na skórę tworzy na jej powierzchni błonkę osłaniającą przed uszkodzeniami i wnikaniem brudu w głąb naskórka. Zapobiega on też zbytniemu wysuszeniu skóry. Podobne działanie ma również Silikonowy Krem do Rąk (Pollena-Lechia).

Po umyciu rąk trzeba je natrzeć Kremem Owocowym (Pollena-Lechia). Zawiera on witaminy i naturalny sok z owoców, toteż odżywia skórę i usuwa podrażnienia wywołane pracą w gospodarstwie. Jest on szczególnie polecany po obieraniu jarzyn.

Wielkim powodzeniem cieszy się też Krem do Rąk Uroda (Pollena-Uroda), któremu przyznano znak jakości „1". Nawilża on i odżywia skórę, a przy stałym używaniu pomaga utrzymać ręce w nienagannym stanie. Krem Cytrynowy (Pollena-Uroda) ma działanie wybielające i łagodzi podrażnienia skóry.

Znak jakości „1" ma również Gliceryna Zgęszczona (Pollena-Uroda), która nawilża i wydelikatnia dłonie. Kto używa jej po każdym myciu, ma ręce gładkie jak atłas.

Nowym środkiem, który ukazał się na rynku i od razu zdobył wielkie powodzenie, jest Emulsja do Pielęgnacji Rąk (Pollena-Ewa). Zawiera ona substancję wydelikatniającą szorstką i popękaną skórę. Dzięki łatwemu wchłanianiu Emulsji przez skórę ręce nie są po natarciu tłuste.

K-9714

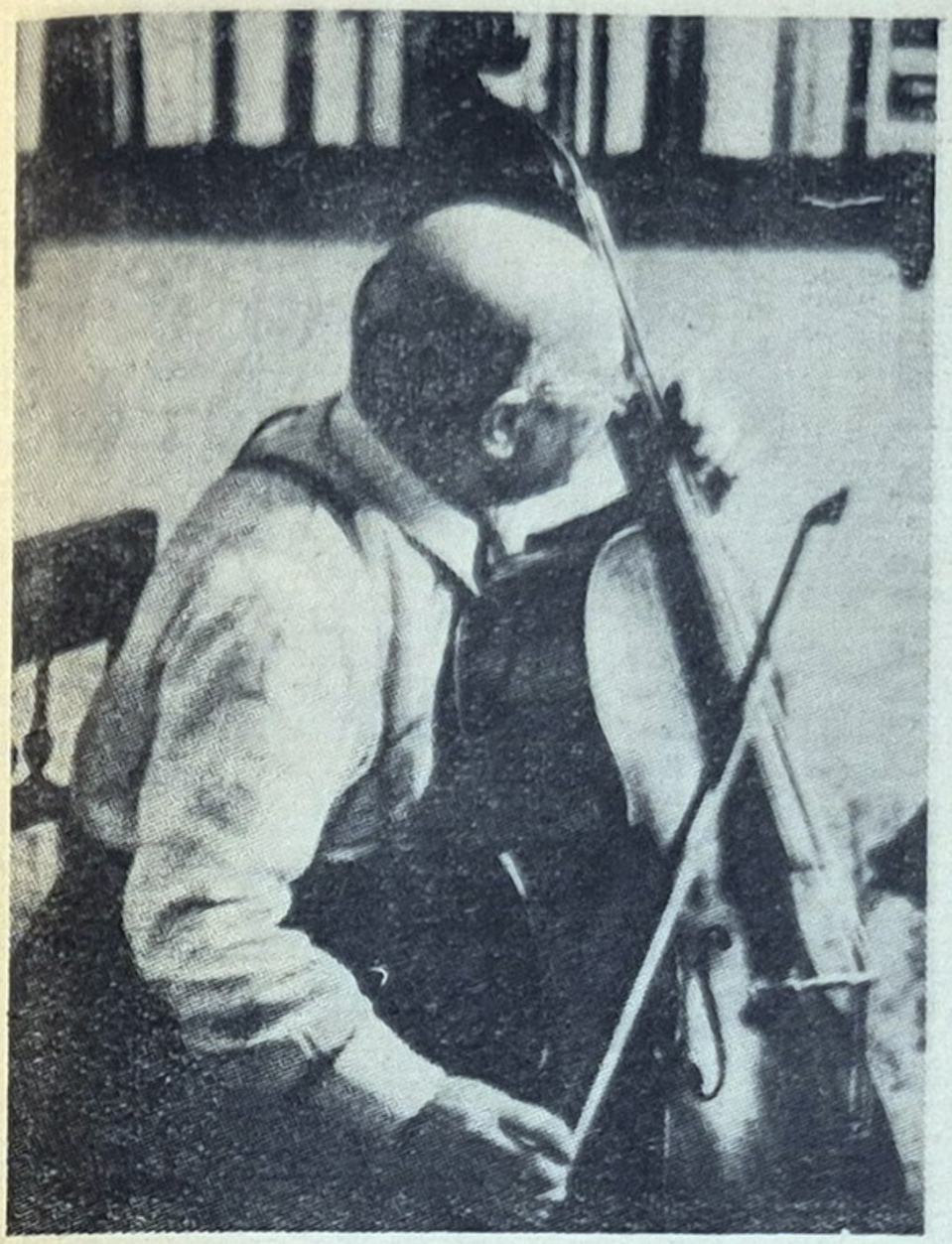

łem ten obszerny fragment książki José Marii Corredora — **„Rozmowy z Pablo Casalsem"**, bo w pełni oddaje on osobowość tego wielkiego Katalończyka.

Pablo Casals urodził się w 1876 roku w małym miasteczku katalońskim Vendrell, niedaleko Barcelony. Jego ojciec był organistą kościelnym i pierwszym nauczycielem przyszłego wirtuoza. Po latach muzycznej edukacji przyszły pierwsze sukcesy i... przygody. Casals nie grzeszył zbyt bujną czupryną, a w latach jego młodości wirtuoza obowiązywały długie włosy. Biedni impresario, nie mogąc namówić upartego Katalończyka na założenie peruki, informowali słuchaczy, że „młody i wielki wiolonczelista Pablo Casals jest łysy dlatego, że wszystkim kobietom, które kochał, dał po jednym włosie na pamiątkę". Na szczęście ludzie przychodzili słuchać Pabla Casalsa, a nie podziwiać jego urodę. Z czasem zawojował cały świat. Nazywano go „królem smyczka", pisano wprost, że jest największym wirtuozem, jakiego wydała ludzkość, że pozostanie „nauczycielem dla wszystkich".

Casals był także dyrygentem, założycielem orkiestry w Barcelonie, która przyjęła jego imię — „Orquestra Pau Casals". Niestety — nadszedł rok 1936... W Hiszpanii wybuchła wojna domowa. Terror i prześladowania zmusiły tak wrażliwego artystę, jakim był Casals, do zajęcia zdecydowanego stanowiska. Walczył swoją najmocniejszą bronią; grał na wiolonczeli wśród odgłosów spadających bomb. Koncertował za granicą, przeznaczając zdobyte w ten sposób pieniądze na szpitale, pomoc dla dzieci... Koniec wojny zastał go w Paryżu. Do Hiszpanii już nie wrócił. Osiadł w małym miasteczku francuskim Prades. Stąd nadal wysyłał żywność dla katalońskich dzieci. W roku 1946 wziął udział w kilku koncertach dobroczynnych. Postanowił jednak nie przyjmować dalszych zaproszeń, póki nie uszanuje się swobody i woli ludu hiszpańskiego. Konsekwentnie odrzucał każdą ofertę. Przysłano mu nawet czek in blanco, prosząc o wpisanie dowolnej sumy, która będzie zrealizowana w zamian za cykl koncertów w Stanach Zjednoczonych.

Mijały lata, a Casals nie opuszczał Prades. I wówczas muzycy i melomani wpadli na pomysł zorganizowania Festiwalu Muzycznego właśnie w Prades. Pierwszy odbył się w 1950 roku w dwusetną rocznicę śmierci Jana Sebastiana Bacha, którego Casals był wielbicielem i znawcą. Do Prades zjeżdżali najwybitniejsi przedstawiciele świata muzyki, ciągnęły „pielgrzymki" wiernych melomanów. I tak wiolonczela Casalsa znów czarowała słuchaczy. Pierwszy festiwal nazwano „muzycznym wydarzeniem stulecia". Co roku w czerwcu nieznane dotąd miasteczko francuskie stawało się stolicą muzyki... Ale festiwal się kończył i mistrz Casals pozostawał sam. Nazwano go „pustelnikiem"... Ale Casals nie zamykał drzwi przed światem. Codziennie otrzymywał setki listów. Wszystkie czytał, wszystkim chciał pomóc. Zwrócono mu kiedyś uwagę, że może go to zbyt męczy. — „To prawda — odpowiedział — ale wśród tych listów są listy ludzi, którzy żalą się na swoją niedolę i pokładają we mnie swoją biedną nadzieję. To jest ważniejsze niż wszystkie festiwale". Takim pozostał do końca. Do końca walczył o człowieka. Skomponował oratorium „El Passebre", głoszące „pokój na ziemi ludziom dobrej woli". Prezentował ten utwór mieszkańcom wszystkich kontynentów. W roku 1963 wołanie o pokój zabrzmiało w gmachu Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych. To prawda — „Casals był jedyny — jako człowiek i jako wiolonczelista". Zmarł 25 października 1973 roku.

LECH NOWICKI

Król smyczka

„Papiery, papiery na stole, na starym fortepianie, niekiedy na krzesłach i na kanapie, na której mistrz kładzie się w nocy, a wiolonczela odpoczywa w dzień. Skąd się bierze tyle papierów? Po prostu stąd, że znany na całym świecie artysta, jakim jest Casals, ma swój moralny obowiązek odpowiadać na wszystkie listy. A Bóg wie, ile ich dostaje! Przez długie lata zadawał sobie trud, aby nie tylko nie zostawiać żadnego listu bez odpowiedzi, ale co więcej — odpowiadać własnoręcznie". Przytoczy-

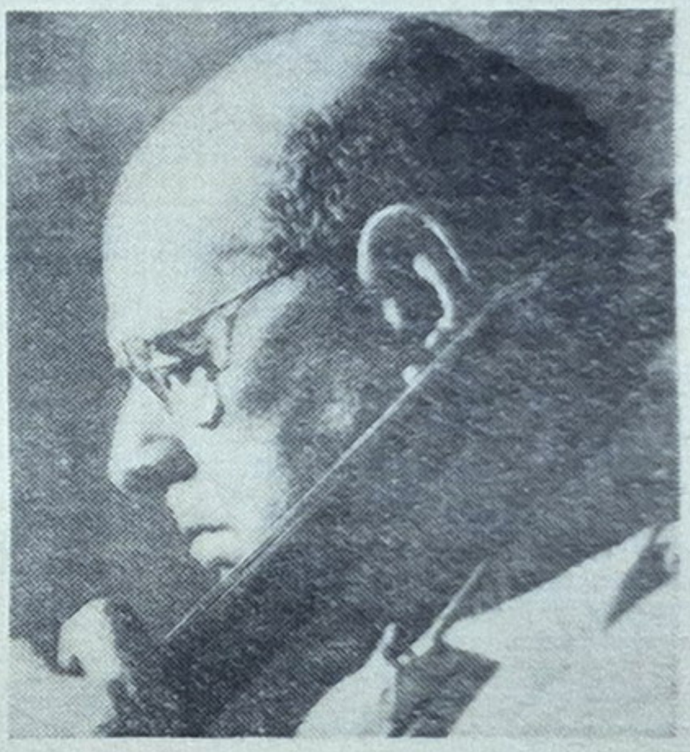

Spróbuj Rozwiązać

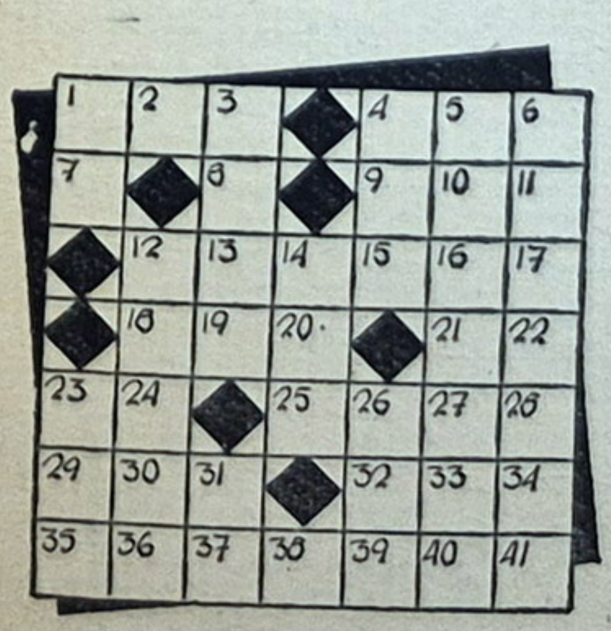

SZYFROGRAM

Odgadnąć 6 wyrazów pomocniczych o poniższych znaczeniach i wpisać je na miejsce liczb, którymi są zaszyfrowane. Następnie przenieść wszystkie litery odgadniętych wyrazów do diagramu na miejsce odpowiadających im liczb od 1 do 41 i rzędami poziomymi odczytać rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

podstawa pomnika, posągu = 4 — 29 — 38 — 33 — 11 — 12 — 6 —7 — 13; szata strój, ubranie = 3 — 39 — 28 — 37 — 22 — 18 — 41 — 30; cztery kwadranse = 25 — 35 — 27 — 40 — 19 — 31 — 8; wielki, gęsty las = 1 — 9 — 10 — 20 — 21 — 17; rączka, rękojeść narzędzia = 14 — 15 — 16 — 36 — 5 — 24; duże kąpielisko morskie nad Zatoką Gdańską = 23 — 32 — 34 — 26 — 2.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na pocztówce: „Szyfrogram". Do rozlosowania:

bony książkowe.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 79 (2279)

Krzyżówka. Poziomo: lampart, synonim, Szczyrk, paragon. Pionowo: Alpy, polo, raki, sos, noc, Ney, mak, zima, zupa, runo.

Za dobre rozwiązanie bony książkowe wylosowali: 1) Maria Chętkowska — Sosnowiec, 2) Lidia Drzazga — Wałbrzych, 3) Mirosław Kaczmarczyk — Gozdnica, 4) Mariusz Kisielewicz — Olsztyn, 5) Jolanta Maciejewska — Bytom, 6) Edyta Poda — Leszczyny, 7) Tomasz Serwacki — Warszawa, 8) Ryszard Skop — Ruda Śląska, 9) Bogdan Szostkiewicz — Częstochowa, 10) Ewa Trofimiuk — Suwałki.

Garaż na dnie jeziora

W dużych miasta Europy coraz trudniej znaleźć miejsce do parkowania samochodu. Aby rozwiązać ten problem buduje się więc coraz częściej garaże piętrowe lub podziemne. Na niezwykle oryginalny pomysł wpadli specjaliści szwajcarscy — wznoszą oni czteropoziomowy garaż na dnie Jeziora Genewskiego. Co ciekawsze, inwestycja ta będzie znacznie tańsza niż budowa garażu podziemnego. (b)

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPOŁ. Red. Nacz. Jerzy MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa, Książka, Ruch", 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 46. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy tel. 29-35-52. Biuro Ogłoszeń 00-033 Warszawa, ul. Górskiego 7, tel. 26-75-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Książka, Ruch", 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwa RSW „Prasa, Książka, Ruch" 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 10 proc. droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa, Książka, Ruch" 00-840 Waszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch" 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28. Adres redakcji. 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039.

Zam. 4983. R-78

Zwierzenia zastępowej

„PROBÓWKI" zdały próbę

Zawsze z podziwem patrzyłam na swego starszego brata, Sławka. Zazdrościłam mu wielu rzeczy naraz, a zwłaszcza tego, że bezustannie był czymś zajęty, zaaferowany, ciągle komuś potrzebny. Często przychodzili do niego koledzy z zastępu, zamykali się w pokoju i długo naradzali. Po takiej naradzie Sławek zabierał się zazwyczaj do pakowania plecaka, a ja już dobrze wiedziałam, że następnego dnia nie ujrzę go w domu. Z biwaku wracał z nowym zapasem sił i energii, znów zwoływał kolegów, wydawał polecenia, układał nowe plany...

Pragnęłam być taka sama jak on! Byłam przy tym głęboko przekonana, że uda mi się to jedynie wówczas, gdy też będę zastępową, bo tylko na tej funkcji można się wykazać.

Dwa lata temu, będąc w V klasie, zdobyłam się na odważne przedsięwzięcie. Podpatrzywszy uprzednio, kiedy odbywają się zbiórki rady szczepu, wtargnęłam do harcówki, gdy wszyscy byli w komplecie. Szybko powiedziałam, że chcę założyć i prowadzić zastęp. Usłyszałam, że to nie jest zgodne z regulaminem; zdaje się że byli trochę zaskoczeni.

Po tygodniu, kiedy już straciłam wszelką nadzieję i doszłam do wniosku, że się tylko wygłupiłam, szczepowa poinformowała mnie, iż rada wyraziła zgodę. Hurra! Postawiono jeden warunek: mój zastęp będzie miał przedłużony okres próbny, trzy miesiące.

Długo się przygotowywałam do pierwszej zbiórki. Przeczytałam sporo, wypytywałam brata. Chyba jednak nie ta szybko zdobyta wiedza, ale intuicja podpowiedziała mi, że na pierwszym spotkaniu z dziewczynkami, które wyraziły chęć bycia w moim zastępie, nie powinnam się na siłę „wykazywać". Całą godzinę przegadałyśmy o tym, co każda chciałaby na zbiórkach robić. Padały propozycje robienia na drutach, wspólnych wypraw do kina, pieczenia babek w domu jednej z harcerek...

Teraz, jak sobie przypominamy tę pierwszą zbiórkę, to wszystkie uważamy, że właśnie wtedy zżyłyśmy się na mur. Bo tak jest! Jeszcze się nie zdarzyło, abyśmy były sobą znudzone!

Próbę zdałyśmy. Kiedyś wydawało mi się, że to ja mam ją zdawać, dzisiaj wiem, że musiał zdawać ją cały zastęp. A z tych pierwszych trzech miesięcy pozostała nam na pamiątkę nazwa zastępu — „Probówki".

Zwierzenia zastępowej, Laury Rudnickiej ze Szczepu Jordaniaków przy Szkole Podstawowej Nr 42 w Łodzi zanotowała:

B. SKÓRSKA

A może i inni zastępowi zwierzyliby się nam w jaki sposób oni zostali zastępowymi, jaka była ich droga do brązowego sznura, w jaki sposób radzili sobie na pierwszych zbiórkach podległych im zastępów?!

Zastępowi! Czekamy na wasze listy! Na kopertach zaznaczcie hasło: „Brazowy sznur"!

Zapobiegliwi z „Wichury"

PUSTA IZBA HARCERSKA, równie pusty magazyn i prawie żadnych tradycji. Tak było na początku. Istniały natomiast dobre chęci, ręce gotowe do pracy, no i niezły pomysłunek.

Obecnie szczep harcerski „Wichura" działający przy Szkole Podstawowej Nr 4 w Zielonej Górze jest zamożny. Mają całkowity sprzęt obozowy na 100 osób. Każdy namiot jest dosłownie wychuchany. Dzięki dbałości w magazynie znajdują się namioty z 10-letnim stażem obozowym. Po każdej akcji letniej są one zawsze skrzętnie czyszczone, reperowane, przesypywane talkiem. Z namiotami związany jest też obrzędowy zwyczaj: wszystkie otrzymują podczas wakacji własne imiona.

Wszystko co mają zdobyli pracą własnych rąk. Co roku organizują np. choinki noworoczne dla dzieci pracowników różnych zakładów pracy; nawet zuchy mają własny teatrzyk — w ubiegłym roku zarobiły 1 800 złotych. Tej jesieni szczep „Wichura" wspólnie z Zielonogórskim Przedsiębiorstwem Surowców Wtórnych organizuje natomiast wielką zbiórkę makulatury. Uzyskane fundusze chcą przeznaczyć na budowę Domu Harcerza w Zielonej Górze i na Centrum Zdrowia Dziecka.

(bs)

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

CZEŚĆ!

Mój mikrokonkurs wypadł bardzo dobrze. Zasypaliście mnie l a w i n ą kartek z bardzo śmiesznymi rysunkami. Nie zorientowanym wyjaśniam, że trzeba było dorysować co kto chce do tego oto łebka:

Najbardziej rozśmieszyły mnie f i z j o n o m i e, które zamieszczam obok. Oto ich autorki (same dziewczęta!)

1) Agnieszka Piotrowicz
2) Gabriela Miszewska
3) Irena Walkowiak
4) Bogusława Bednarek
5) Ewa Rawicka
6) Izabella Brożyna (przewrotniak!)
7) Joanna Kamirska
8) Elżbieta Sosnowska
9) Ewa Bogacka
10) Barbara Pelczar
11) Ewa Zalewska
12) Renata Szczygielska

Całą dwunastkę uroczyście przyjmuję do RZEP-KLUBU.

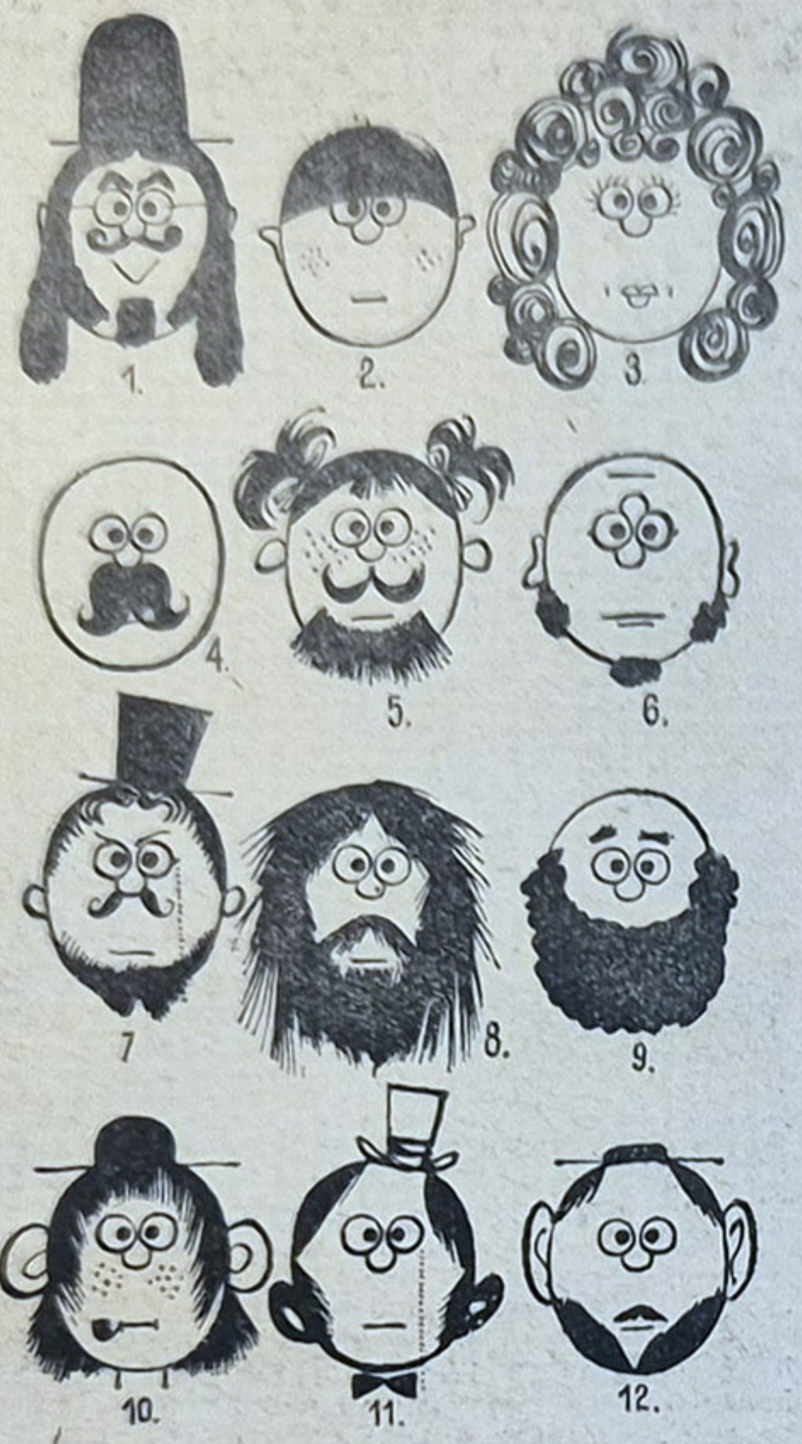

Uwaga, kolekcjonerzy chcący zostać członkami Rzep-klubu! Nie przysyłajcie mi wycinków z b i e ż ą c e j prasy. Szperajcie w starych gazetach i czasopismach. Dowcipy, które dopiero co ukazały się gdzie indziej nie mają żadnych szans w Rzep-klubie!

Do zobaczenia!

Wasz RZEP

RZEP-KLUB

Zastępy szczepu „RODŁO" z Bytomia mogą się od tej chwili uważać za członków klubu. Rada szczepu donosi mi, że w zastępach kwitnie zbieractwo i wymiana humorystycznych rysunków oraz anegdot. Oto dowcipy rysunkowe z kolekcji szczepu wyszperane w starych numerach tygodnika „Panorama".

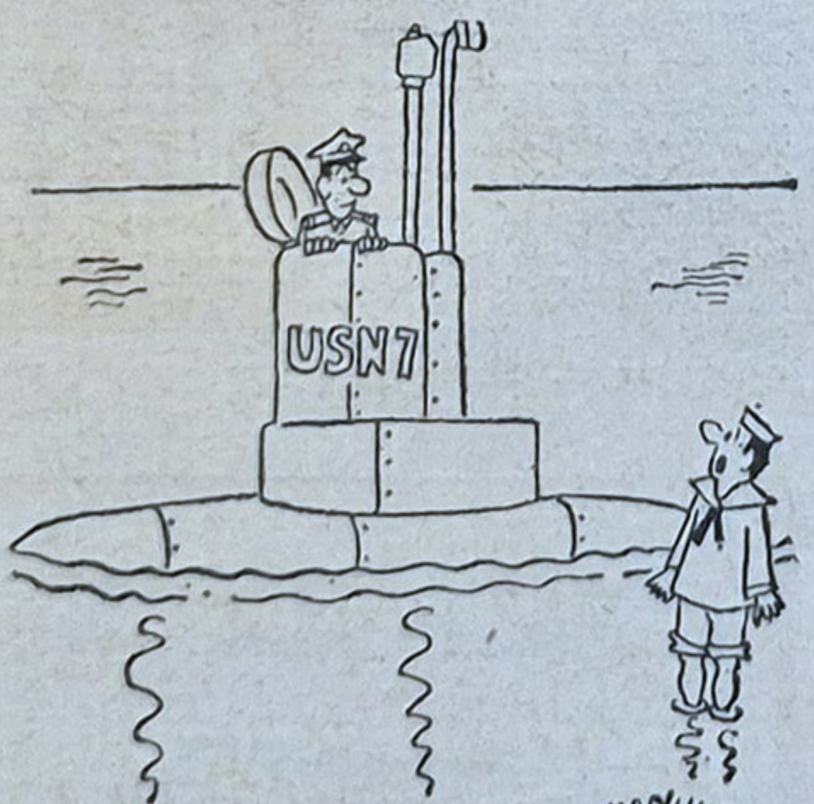

— Teraz jest jasne, dlaczego nie możemy się zanurzyć...

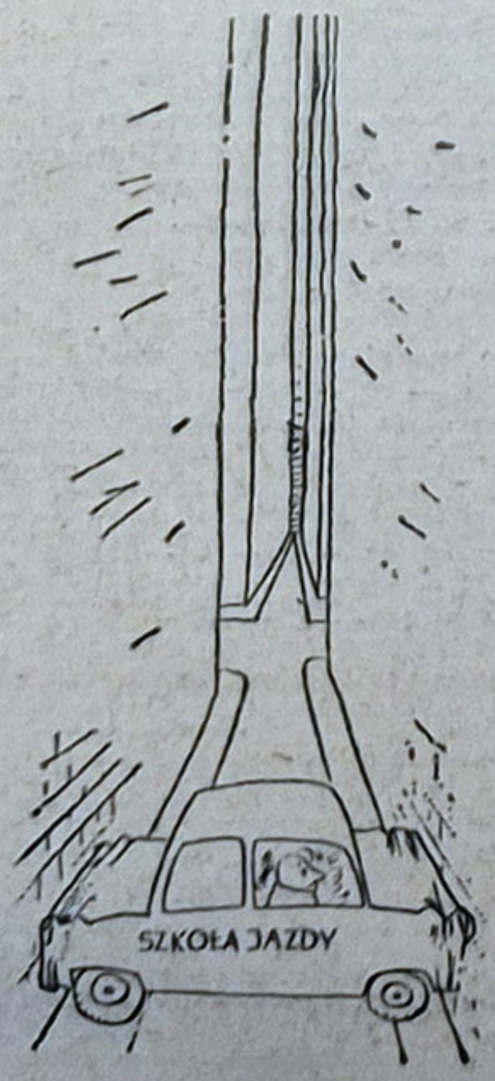

Rys. W. Lewiński